

Spotkanie

Pierwszy raz widzimy się osobiście, a przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Z jasno oświetlonych przestrzeni przemykam w ocean ciemności. Spowijają mnie dźwięki, niepokojące, urwane jakby z zapomnianego chóru potępionych. Pochłaniają ściany zakryte ciemną tkaniną i obrazy, dziesiątki płócien, z których każde niesie w sobie energię.

Stąpam cicho, powoli, jakbym tkwił w brzuchu lewiatana. Nie chcę go obudzić, a może nie chcę obudzić siebie, bo to na co patrzę przypomina sen. Choć tkwią w nim postaci jak z koszmaru, to jest niewymownie piękny. Boję się choćby oddychać, jakby faktura mojego tchnienia mogła zaburzyć odbiór, zabrać coś z znaczenia widzianego dzieła.

Jeden po drugim, przyglądam się z daleka i bliska. Nie potrafię oddać wrażenia, jakie robią na mnie te prace tak blisko, lecz mimo to próbuje. Jakbym chciał uchwycić coś, czego schwytać nie sposób. Dusza płynie wśród tych pociągnięć pędzla, panoram których nie sposób pomylić z niczym innym. Bywa, że czuję lęk, innym razem wzniosłość. Odkrywam nowe kształty i brzmienia w zależności od kąta, pod jakim się znajduję. Podziw to puste słowo, ale tutaj, tutaj nabiera prawdziwej wartości.

Każdy z tych obrazów robi na mnie wrażenie, ale istnieje garstka, która kradnie moją uwagę w pełni. Wszędzie snuję interpretacje, domysły, symbole, ale w tych kilku przypadkach mam wrażenie, że mogę tych opowieść dotknąć. Czuję jak tkwią one we mnie, w środku, domagają się ujścia. To co widzę zdaje się mostem dla nich. I stoję tak zamroczony, nie wiedząc, co począć, myśląc sobie – jakie musiało być uczucie spojrzeć na takie dzieło, dzieło własnych rąk, czy po takiej pracy istniało jeszcze miejsce na zachwyt?

Czy to zdeformowany szkielet, czy ilość rąk świadczy o liczbie istnień? Nie wiem, ale patrząc na tę czerwień, rozpływającą się jak cząsteczki gazu, człowiek nie tyle rozpylany, co zmieciony niczym unosząca się w powietrzu farba. Ta wyciągnięta dłoń, odwrócona twarz. Choć może to wcale nie dłoń, ani wcale twarz. Czy tak rozmywały się istnienia w Hiroszynie i Nagasaki, gdy wybuch naznaczał je na wieki? Czy ludzie byli w stanie wyciągnąć dłoń, powiedzieć cokolwiek, czy tylko mgnienie nadeszło i nie było już nikogo?

To morskie głębiny, piekielne otchłanie? Anioł upadły czy w czyścicu walczący? Dla mnie to kobieta, kobieta brzemienna zawieszona na granicy dwóch światów. Jest życiem i nosi w

sobie życie. Jakie to musi być uczucie, jakie piękno przeszyte strachem, ciągłą obawą o dalszy los? Ręce, dziesiątki palców wyzierających niczym stawonóg rodem z otchłani. Setki małych dusz wyciągających rękę, szepczących dotykiem możliwe wersje wydarzeń. I barwy, granat, lazur, fiolet, całun z głębin. Rozchylone usta, odznaczone nozdrza, ekstaza, która ociera się o rozpacz.

Chciałbym jeszcze opowiedzieć o cmentarzu. W swoim życiu widziałem wiele cmentarzy, ale kiedy zobaczyłem ten, wiedziałem już, że kiedy padnie słowo cmentarz, on właśnie wypłynie w mojej myśli. Na pierwszym planie kamienie krwiste, niektóre jakby zapadały się w ziemię, wchłaniane powoli, bezlitośnie. Jakby holokaust miał się nigdy nie skończyć, jakby pochłanianie dusz trwało nieprzerwanie, być może w innej, lecz wciąż bolesnej skali. W oddali stos grobowców, nieskończony, niepomierny. Istnienia zatrzymane w jamie czasu. Oddechy zasklepione. Z bliska czuć krew, w oddali pachną duszę.

Wyłaniam się, opuszczam kapsułę czasu i uczuć. Uderza mnie sztuczne, jarzeniowe światło. Mrużę oczy. Nie wiem do końca, co się stało. Nie wiem czy wciąż jestem tym, kim byłem, zanim zanurzyłem się w sztukę, po raz pierwszy w dorosłym, świadomym życiu. Panie Zdzisławie, może pan mnie słyszy, może nie, ale i tak powiem to, co powiedzieć muszę. Chyba zostawiłem coś Panu, Pan też coś mi dał i ja tej wymiany nie zapomnę nigdy.

Zostanie mi pod powiekami.

W znaczeniu wypowiedzianych słów.

We mnie.